

RIO ALTAMACHI

W WYPRAWIE UDZIAŁ WZIĘLI: NATASZA SZAJSKA, MACIEJ TARASIN I WALDO URDINI-NEA. BYŁ TO PRAWDOPODOBNIPIERWSZY SPŁYW RIO ALTAMACHI W HISTORII, CO POTWIERDZAJĄ MIESZKAŃCY KHORI MAYU-WIOSKI LEŻĄCEJ NIEOPODAL MIEJSCA, OD KTÓREGO RZĘKA ZACZYNA BYĆ SPŁAWNA. NA ODCINKU 250KM (SAN AGUSTIN DO RIO COTACAJES) DENIWELACJA TERENU WYNIOSŁA 1000 METRÓW . TRUDNOŚĆ TECHNICZNA RZĘKI TO WW3 Z KILKOMA BYSTRZAMI WW4. RZĘKA PŁYNIE PRZEZ TERENY DZIEWICZE, NIE ZAMIESZKAŁE PRZEZ LUDZI.

Jesienią 2009 roku wspólnie z Nataszą Szałajską spłynęliśmy na tratwie własnej konstrukcji boliwijską Rio Tuichi. W Internecie z łatwością znaleźliśmy sporo informacji o tej rzece: że płynie w wyjątkowo pięknym kanionie przedzierając się przez sam środek Parku Narodowego Madidi, że nad jej brzegami można spotkać tapiry i jaguary, i że miejscami jest dosyć trudną technicznie górską rzeką. To wszystko okazało się prawdą, niemniej jednak co innego spłynąć rzekę, na której odbywa się kilka wypraw w roku, a co innego spłynąć rzekę dziewiczą. Wiedząc skądinąd, że boliwijska część Amazonii jest stosunkowo najmniej zagrożona deforestacją i najbardziej dziewicza, właśnie na mapie Boliwii szukałem rzeki moich marzeń. I tak znalazłem Rio Altamachi. Z jednej strony Cordillera de Cocapata, z drugiej Cordillera de Mosetenes, żadnych miast, żadnych wiosek. Góry i dżungla. Szybko natrafiłem w sieci na bloga Mosetenes-boliwijskiej grupy zapaleńców i poszukiwaczy skarbów, którzy od lat eksplorują doliny rzek Tres Tetillas, Altamachi i Moletto. Na ich stronie było kilka słabej jakości zdjęć Altamachi i rozpalające wyobraźnię opowieści o skarbach ukrytych przez Jezuitów.

Z Krakowa do Cochabamby dostajemy się w przeciągu 30 godzin najpierw liniami Lufthansa, a potem z Sao Paulo już boliwijskim Aerosurem. Hotel Aranjuez, w którym nocujemy to niezwykle urokliwe miejsce. Wiedząc, że kolejne trzy tygodnie spędzimy w dżungli pozwalamy sobie na odrobinę luksusu: kelner przynosi piwko w zmrożonych kufelkach, stare kolonialne mury wypełniają się muzyką klasyczną. 13 maja z samego rana wyruszamy zrobić niezbędne zakupy: dętki od ciężarówki, które będą stanowić podstawę naszej tratwy, łątki i klej na wypadek przebiccia dętek i kilka innych drobiazgów. Poznajemy też człowieka, który pomoże nam w „powożeniu” naszej tratwy i będzie towarzyszem naszej doli i niedoli przez następne 2 tygodnie: to Waldo Urdininea zwany dalej „Waldkiem”- cichy i uśmiechnięty weteran wielu boliwijskich rzek. Nie

wiemy co nas czeka na rzece, więc dodatkowa para rąk będzie bardzo potrzebna. Popołudniu idziemy na przechadzkę. W sklepie z antykami sprzedawca wyciąga z szuflady unikatowy kamień w kształcie słońca. Takimi kamieniami Inkowie

rozłupywali głowy konkwistadorom- tłumaczy przyciszonym głosem. Okazuje się, że za 600 boliwianów możemy wejść w posiadanie tego niemego świadka krwawej i mrocznej historii konkwisty. Zaświadczenie, że kamień jest falsyfikacją

tem w ramach promocji możemy dostać za darmo. Dzięki temu unikniemy kłopotów na granicy. Pytam czy są może stare mapy Jezuitów wskazujące w którym miejscu są zasypane kopalnie złota nad rzeką Tres Tetillas. Niestety nie ma.

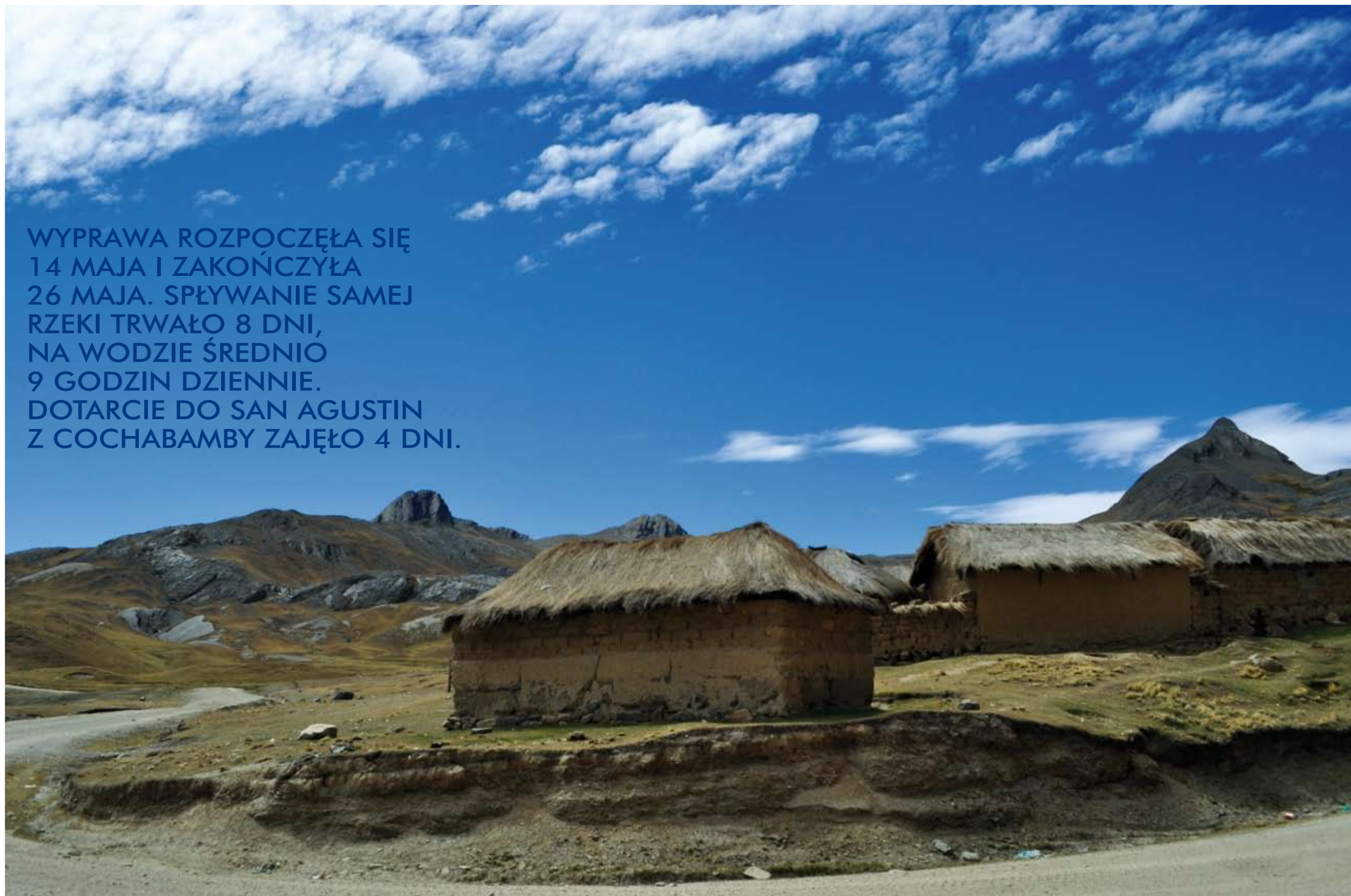
Następnego dnia skoro świt wyruszamy jeepem na przełęcz, na której mają czekać chłopcy z Khorri Mayu ze wsparciem logistycznym w postaci kilku koni, które pomogą nam znieść całość ekwipunku nad Rio Altamachi. Naszym celem jest ran-

czo San Agustin, skąd jak wierzymy rzeka jest już splawna. Docieramy do przełęczy przed zmrokiem. Koni nie ma. Jesteśmy jednak zdeterminowani. Zostajemy z całym sprzętem przy owczych zagrodach na wysokości 4000 mnpm. Wszystkiego

WYPRAWA ROZPÓCZĘŁA SIĘ
14 MAJA I ZAKOŃCZYŁA
26 MAJA. SPŁYWANIE SAMEJ
RZEKI TRWAŁO 8 DNI,
NA WODZIE ŚREDNIO
9 GODZIN DZIENNIE.
DOTARCIE DO SAN AGUSTIN
Z COCHABAMBY ZAJĘŁO 4 DNI.

Poprzednia rozkładówka
Panorama doliny Rio Altamachi.
fot. Maciej Tarasin

Bieżąca rozkładówka
Gliniane domki w drodze z Cochabamby na przełęcz
fot. Maciej Tarasin





za jednym razem na pewno nie znieśmy. Najwyżej wrócimy po resztę sprzętu później. Jest zimno, wieje przenikliwy wiatr, w pasterskiej chacie pali się ogień. Mała brudna dziewczynka z chatki dostaje od nas czekoladę i szybko ucieka do domu spłoszona. Zapewne pierwszy raz widzi ludzi o jasnych włosach i niebieskich oczach. Przed zmrokiem przy zagrodach niespodziewanie zjawia się pasterz z koniem. Krótkie negocjacje kończą się sukcesem. Za 300 boliwianów pomoże nam nazajutrz znieść sprzęt do wioski Khoru Mayu, gdzie będziemy już bliżej celu. Koń Lobo wygląda na silnego i mądrego zwierzę. Bez niego byłoby ciężko. Opatrzność nad nami czuwa.

Rankiem zawiązujemy koniowi oczy, żeby się nie spłoszył, po czym ciężkie dętki i liny ładują na jego grzbiecie. Po drugiej stronie przełęczą się yungas: zalesione stoki wschodniej strony Andów: przedmurze zielonego piekła Amazonii. Moja lewa kostka mocno nadwyrężona wieloletnią futbolową poniewierką po boiskach i podwórkach całego świata bardzo boli, a niesiemy po 30kg na plecach. Natasza idzie szybciej od konia, ja zostaje daleko w tyle. Chwila odpoczynku po przejściu odcinka górskiego i zaraz wejdziemy do dżungli. Robi się coraz cieplej, mam wrażenie jakbyśmy w plecakach nieśli kamienie.. W ciągu niespełna godziny otoczenie zmienia się nie do poznania, jesteśmy w innym świecie: mrocznym, zielonym, wypełnionym nieznanymi nam odgłosami. Zdziwiający są naturalne korytarze porośnięte mchem, którymi schodzimy w dół po grząskiej ziemi. Kiedy jesteśmy w środku nad naszymi głowami widok nieba zamykają korzenie drzew, jest ciemno i wilgotno, ale za to mamy naturalną osłonę przed słońcem. Kończy się woda, a idziemy już ósmą godzinę. Właściciel konia

Bieżąca rozkładówka

● **Góra:** przejście przez kanion na Rio Santa Elena.
fot. Maciej Tarasin

● **Dół:** Waldo, Natasza i rozwalona tratwa po wywrotce
fot. Maciej Tarasin

Następną rozkładówką

● **Panorama doliny Rio Altamachi** oraz muły i ludzie pomagający nam znieść cały ekwipunek.
fot. Maciej Tarasin



Lobo prowadzi mnie do krowiej sadzawki i pokazuje jak łatwo kubkiem można wyciągnąć z niej parę łyków czystej wody. Nie wiem czemu, ale nie przekonał mnie tym, że napił się pierwszy i nie umarł od razu. Wreszcie tuż przed zachodem słońca dochodzimy do rzeki Khoru Mayu, a chwilę później do wioski o tej samej nazwie.

Dzięki uprzejmości miejscowego chłopca i za niewielką opłatą zamieniamy jednego konia na trzy muły. W dobrych nastrojach po zjedzeniu suchej krakowskiej, barszczu i kabanosów na śniadanie schodzimy kilka kilometrów w dół do rzeki Altamachi. Chcemy sprawdzić czy rzekę można spłynąć już od Khoru Mayu czy też musimy przedzierać się przez dżunglę do San Agustin. Niestety Altamachi w Khoru Mayu na wysokości 1780 metrów nad poziomem morza usiana jest gęsto kamieniami i szeroka na ponad dwa metry tratwa nie dałaby rady przepłynąć między nimi. Właściciel mułów twierdzi, że droga do San Agustin od kilkunastu lat jest nieuczęszczana i żeby tam dotrzeć należy najpierw wysłać tam kilku campesinos z maczetami i siekierami w celu jej oczyszczenia. Szybko dobijamy targu: cztery juczne muły i oczyszczenie drogi maczetami będzie nas kosztować aż 2000 boliwianów. To dużo, ale spełnianie marzeń bywa kosztowne.. Rozkładamy obóz nad rzeką i pieczemy na ognisku kurę przyniesioną przez żonę chłopca, z którym ubiliśmy interes. Z pełnymi brzuchami kładziemy się spać, nasze organizmy regenerują się po wczorajszej przeprawie przez góry. W nocy leje cały czas, łagodna rzeczka Khoru Mayu zmienia się w rwącą górską rzekę i podchodzi pod nasz namiot. Nad ranem musimy się ewakuować w wyżej położone miejsce. Po nocnej ulewie przejście do San Agustin okazuje się niemożliwe. Rozszalała rzeka uniemożliwia dostęp do ścieżki, dżungla staje się podmokła i objuczone muły narażone byłyby na niebezpieczeństwo w takich warunkach. Odkładamy opuszczenie Khoru Mayu do następnego dnia.

18 maja od rana posuwamy się powoli wąską ścieżką prowadzącą przez las deszczowy w asyście rodziny z Khoru Mayu w składzie: mama niosąca w tradycyjnej chuście na plecach poskładane wiadra, tata i syn z maczetami. Muły niosą prawie cały nasz ekwipunek, a my podziwiamy urok dżungli. Na chwile wychodzimy z lasu deszczowego, aby znaleźć się na rozległej polanie kipiącej od zieleńi, z której rozpościera się fantastyczny widok na dolinę rzeki Altamachi. Wygląda

na to, że rzeką będzie można płynąć. Co prawda kamieni jest sporo, ale koryto jest szersze niż w Khoru Mayu. Docieramy do gaju pomarańczowego położonego nad rzeką w pobliżu San Agustin. Chwila napięcia. Przedzieramy się nad rzeką wąską ścieżką pośród bambusowych drzew. Jest Altamachi, da się spłynąć. Jest dobrze! Zrywamy z drzew dziko rosnące pomarańcze i robimy zapasy na resztę wyprawy.

Naszą przygodę z Rio Altamachi zaczynamy od budowy tratwy nad brzegiem rzeki. Waldek jest mistrzem ceremonii. Od lat pracuje w dżungli przy wyrębie drzew i teraz instruuje mnie jakie drzewa najlepiej nadają się na konstrukcje drewnianego szkieletu tratwy. GPS wskazuje wysokość 1500 mnpm. Z map wynika, że indiańska wioska Covendo, do której mamy dopłynąć znajduje się na wysokości około 500 mnpm. Deniwelacja rzędu 1000 metrów na stosunkowo niewielkim dystansie około 150 km w linii prostej robi wrażenie. Spadek będzie duży, nawet bardzo duży.. Wsiadamy w trójkę na tratwę i płyniemy w nieznaną! Już na pierwszym stanowisku jedna z poprzecznych belek stanowiących konstrukcję naszej gumowo – drewnianej tratwy, ale płyniemy dalej głodni wrażeń. Kanion jest dość wąski, a kamienie ustawione dość blisko siebie i bywa, że musimy tratwę przeciskać między kamieniami stojąc po pas w rwącej wodzie. Już pierwszego dnia dwukrotnie ćwiczymy opuszczanie tratwy na linie. Rzeka to wpada w wypełnione szarymi głazami kaniony porośnięte zieloną gęstwiną, to znów wypływa na spokojniejsze wody rozlewając się szeroko. Jeden z takich głazów stojący pośrodku rzeki wygląda jak but krasnoludka! Nagle na lewym brzegu zauważam jaguara. Cieszę się jak dziecko, w końcu jest to moje marzenie, które spełnia się już drugiego dnia na rzece! To młody osobnik, ma dwa, może trzy lata. Jest piękny. Zaniepokojony naszą obecnością robi dwa kóteczka na piaszczystym brzegu i po chwili znika w zielonym gąszczu okalającym kanion. Nad dziewiczymi brzegami Rio Altamachi zwierzęta towarzyszą nam codziennie: jest mnóstwo kolorowych ptaków, czasem gdzieś w koronach drzew pojawiają się małpy, a w nurcie rzeki wychyli głowę na powierzchnię wydra, żeby po chwili wesoło zanurkować. W obozie nęka nas dzikie pszczoły i krwiożercze muszki. Trzeci nocleg nad rzeką spędzamy w „kanionie niedźwiedzi” jak sam go nazwałem. Ślady na piasku między skałami świadczą o tym, że w okolicy żyje ich kilka. Znajdujemy bardzo duże ślady, ale

jest też kilka mniejszych. W nocy rozpalamy aż cztery duże ogniska, żeby misie nie podchodziły za blisko.

Po trzech dniach na rzece zaczynamy się niepokoić. W linii prostej robimy dziennie nie więcej niż dziesięć kilometrów. Rzeka jest technicznie trudna i większość kanionów trzeba oglądać zanim się je spłynie. Zabiera to dużo czasu, a przecież samolot na nas nie będzie czekał. Kupiliśmy tanie bilety, ale bez możliwości zmiany terminu wylotu i zaczynamy się bać, że samolot poleci bez nas. Musimy jak najszybciej dopłynąć do miejsca, w którym rzeka Malpaso wpada do Altamachi. Odtąd będziemy już płynąć kursem północno-zachodnim i kilometry zaczną ubywać zdecydowanie szybciej. Wreszcie dopływamy! To chyba najbardziej urokliwe miejsce nad rzeką Altamachi. Rozległy, łagodny kanion, którego zbocza porośnięte są niskopienna roślinnością w górnych partiach i mieniącym się kolorami lasem deszczowym u podnóża zaraz przy rzece. Trochę tak jakbyśmy płynęli między charakterystycznymi dla Machu Picchu wzniesieniami, ale bez bajkowych ruin. Tego samego dnia dopływamy do kanionu osadzonego między trzema wzniesieniami przypominającymi legendarne Tres Tetillas z legendy o złocie Jezuitów. Musimy opuszczać tratwę na linie, bo kilka odwojów wygląda bardzo niebezpiecznie. Po dwugodzinnych zmaganiach wreszcie wypływamy na bezpieczniejszą wodę. Nie trwa to długo, bo w kolejnym kanionie lina znowu idzie w ruch. Szanse na to, że zdążymy na samolot są coraz mniejsze..

Następnego dnia z samego rana wywracamy tratwę po raz pierwszy. Żle przespana noc i zmęczenie zbierają żniwo. Nieudane podejście do bystrza, chwila nieuwagi i rzeka składa tratwę niemal w harmonijkę między dwoma wielkimi głazami. Chwilę potem gumowa amfibibia spada na mnie i Nataszę. Dobrze, że mamy kaski i kamizelki, bo mogłoby się to dla nas źle skończyć. Wypływamy spod łodzi. Sprawdzam czy z Nataszą wszystko dobrze i płynę odzyskać wiosła. Po chwili wszystkie trzy zostają wyłowione na spokojnej wodzie poniżej bystrza. Waldek ma rozwalone kolano, trzeba je opatrzyć. Walczył dzielnie do końca z nurtem, ale nie utrzymał tratwy. Oprócz trudnych i niebezpiecznych przejść są też chwile przyjemne kiedy podziwiamy dziką przyrodę yungas i wypatrujemy zwierzaków. Ptaki o żółtych ogonach i kolorowe papugi przelatują nisko nad naszymi głowami przekrzykując się

nawzajem. Chwile spokoju przerywane są przez kolejne bystrza w kanionach. Na jednym z nich Natasza nie nadążyła z wskoczeniem na tratwę i spływa pomiędzy wielkimi kamieniami trzymając się kurczowo drewnianej konstrukcji tratwy. Jej uda wyglądają jak świeżo zaorane pole, wielkie łzy i przażenie w oczach świadczą o tym, że poznała siłę rzeki na własnej skórze. Nic jej jednak nie jest. Wciągamy ją na górę i po chwili płyniemy dalej.

Dniem prawdy jest 24 maja – moje urodziny. 30 kilometrów dzieli nas od miejsca gdzie Altamachi wpływa do rzeki Santa Elena. I jest to 30 km białej wody w potężnym kanionie, którego skały są mocno zniszczone przez małe dopływy przebijające się z nastaniem pory deszczowej przez gęstą dżunglę. Wszędzie tam gdzie nawet mało widoczny o tej porze roku rzeczka łączy się z rzeką matką widać potężne głazy, rozmyte skały i roztraskane, leżące bezładnie ogromne konary drzew. Jakimś cudem przechodzimy bez uszczerbku tego dnia nawet bardzo niebezpieczne miejsca. Dzień później płyniemy już nieco rozluźnieni i ma to swoje przykre konsekwencje. Najpierw jak zdmuchnięty potężnym podmuchem wypadam z tratwy w połowie przejścia między wielkimi jak auta dostawcze głazami, ale trzymam się jedną ręką i gramolę z trudem z powrotem na dętki podtrzymywane przez Nataszę. Wiosła nie puszczam, wiosła rzecz święta! Chwilę później stawia nas do pionu na potężnych falach i przewraca tratwę do góry nogami. Płyniemy szybko do brzegu zanim pojawi się widoczne już kilkadziesiąt metrów z przodu kolejne bystrze. Przewracamy tratwę na właściwą stronę i zauważamy w odległości 200 metrów na prawym brzegu prowizoryczne obozowisko. Dym z ogniska świadczy o tym, że po siedmiu dniach płynięcia w totalnej dżicy po raz pierwszy zobaczymy ludzi. Jeśli mają motorową łódź to na pewno zdążymy na samolot! Zostajemy poczęstowani przez przysadzistą Boliwijkę jajkami i ziemniakami, dostajemy też ciepłą herbatę. Nazajutrz w miejscu gdzie Santa Elena łączy się ze swoją większą siostrą Rio Cotacajes kończy się nasza przygoda. Wielka motorowa łódź zabiera nas do Taqui, skąd tego samego dnia udajemy się do Palos Blancos. ●

